

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Wzór do rysunku.

IMIENINY MAMY.

OBRAZEK W KILKU SCENACH.

PRZEZ

SEWERYNĘ DUCHIŃSKĄ.

OSOBY.

ZOSIA.

JADWISIA.

JANOWA, BIEDNA WDOWA.

(Rzecz dzieje się w Paryżu, w domu polskim.)

SCENA I.

ZOSIA sama.

(Siedzi przy stoliku i oblicza miedziaki.)

Cztery franki!... skarb nie mały...

O! doprawdy jam bogata!

Kiedy do rąk mi wpadały

Te susiki w ciągu lata,

Od Babuni, to od Dziadzi,

Pomyślałam nieraz sobie:

Co ja zimą z niemi zrobię?

Dziś mi dobrze serce radzi,

Jmieniny Mamy jutro;

Coby kupić?... nie wiem sama...

Czy kapelusz? może futro?

Lecz o stroje nie dba mama.

Lepiej koszyk do roboty,

Albo ptaszka w klatce złotej,

Co ma skrzydła jasne, duże,

Lub z wazonem piękną różę.

Słońce świeci tak od rana,

Zegar dzwoni jedenastą,

Mamy z boną iść na miasto...

Czy Jadwisia już ubrana?

Pójdę zajrzeć...

(Słychać pukanie do drzwi.)

Ktoś kołacze.

(Wchodzi Janowa.)

SCENA II.

ZOSIA JANOWA.

(ZOSIA patrząc na wchodzącą.)

To Janowa nasza biedna,

Jaka blada!... czego płacze?

JANOWA.

Panienczka sama jedna!...

Nie masz pani? wyszła może?

Co tu czynić, mocny Boże!

ZOSIA.

Wyjechała do Wersalu,

Nie powróci przed wieczorem.

JANOWA.

Moje serce pęknie z żalu!

Jak poradzę z dzieckiem chorém?

Niebożatko umrze pewno,

Leży martwe, jakby drewno.

ZOSIA.

Był-że doktor?

JANOWA.

(Przed godziną.)

Był, zapisał różne leki,

Jakiś plaster, krople, wino,

Co tchu pędzę tu z apteki.

Z aptekarzem wielka bieda,

Bez pieniędzy leków nie da!

Oj sierotaż ja na świecie,

Umrze biedne moje dziecko,

Gdybyż pani była w domu,

Toby wsparła mnie w tej nędzy.

(płacze.)

ZOSIA.

Ile trzeba wam pieniędzy?

JANOWA.

Cztery franki!..

(ZOSIA, podając garstkę miedziaków.)

Masz... nikomu

Nie mów o tém.

JANOWA.

Anioł z nieba!

Dzięki! dzięki!... serce złote...

(odchodzi.)

SCENA III.

ZOSIA sama.

Już mi myśleć nie potrzeba

Co dam mamie!...

(bierze robotkę ze stolika.)

Tę robotę

Wykończyłam ręką własną,

Wiem, że mama będzie rada...

(wesolo)

Tak mi jakoś lekko, jasno,

Ale ukryć rzecz wypada...

Jak? doprawdy nie wiem wcale!

Ha... Jadwisia...

(Jadwisia wbiega w kapelusiku, w ręku trzymając woreczek z pieniędzmi.)

SCENA IV.

ZOSIA JADWISIA.

JADWISIA.

Chodźmy żywo!

Wszystko pójdzie doskonale...
 Dzisiaj radość mam prawdziwą.
 Cały skarb mój tu przynoszę,
 Sus do susa, i potrosze
 Cztery franki się zebrało.
 Ledwie serce mi nie skoczy,

(przygląda się Zosi).

Czemu spuszczasz w ziemię oczy?
 Co poglądasz tak nieśmiało?
 Idźmy prędzej... bona czeka,
 A przechadzka dziś daleka.
 Targ na kwiaty, tam przy moście,
 Tulipanów, róż bez liku,
 Będą chwalić jutro goście,
 Gdy je ujrzą na stoliku.
 Cóż to? milczysz?... ani słówka ...
 Czy cię Zosiu boli główką?
 Może tęskno ci bez mamy,
 Wszak jaę wkrótce powitamy...
 Cóż ty kupisz?...

ZOSIA *(nieśmiało)*.

Nic!...

JADWISIA.

Nie wierzę!

Łezki w oczach? co się dzieje?
 Czy okradli cię złodzieje?
 Czego płaczesz? powiedz szczerze?

ZOSIA.

Ja wydałam sumkę całą,
 Nic w woreczku nie zostało...

(pokazuje pusty woreczek).

JADWISIA.

A to na co? jeszcze z rana
 Tak brząkałaś nim radośnie,
 Mów, siostrzyczko ukochana!

ZOSIA *wesoło*.

Mnie z radości serce rośnie,
 Ty nie lituj się nademną!

JADWISIA.

Cóż więc?

ZOSIA.

Pytasz mnie daremno!

JADWISIA.

Wszak siostrzyczka pięknie prosi,

ZOSIA.

O nie mogę, choćbym chciała...

JADWISIA.

Jabym wszystko powiedziała
 Ukochanej mojej Zosi.

ZOSIA.

Więc posłuchaj... ta Janowa
 Na poddaszu, biedna wdowa,
 Ma dzieciątko bardzo chore...

JADWISIA.

Ha, zgaduję, co się stało,

Tyś oddała sumkę całą,
 Twe serduszko zawsze skore,
 Aby ludzkiej ulżyć nędzy!...

ZOSIA.

Tak nas mama uczy przecie,
 Wyzdrowieje biedne dziecię...

JADWISIA *(podając woreczek)*.

Weźże sobie z tych pieniędzy
 Na wiązkę ile trzeba,
 Rozdziel sama po połowie...

ZOSIA.

Oni głodni, brak im chleba...
 Co mi dajesz, posłę wdowie!
 Uraduję serce mamy,
 Ona biednych szuka wszędzie...

JADWISIA.

A jak wszystko wdowie damy,
 To najlepij może będzie.

ZOSIA *z radością*.

O Jadwisiu! złote słowa,
 Niech uściskę cię, pieszczotko!

ściskając się

Wspierać biednych... to tak słodko!

JADWISIA

Prawda, Zosiu!...

ZOSIA.

Patrz... Janowa.

SCENA V.

ZOSIA, JADWISIA, JANOWA.

JANOWA *do Zosi*.

Panienczko, dzięki tobie!
 Po lekarstwie odżył Janek,
 Śpi cichutko mój baranek,
 Jedną nóżką był już w grobie,
 Teraz lepij mu daleko...

ZOSIA *podając jej woreczek*.

Masz na bułki i na mleko,
 Od siostrzyczki mojej drogić.

JANOWA.

Co ja widzę? Święte progi,
 Gdzie anioły takie rosną!
 Ty! co w jasnym mieszkasz niebie,
 Szczęść im Boże! błagam ciebie!
(odchodzi).

SCENA VI.

ZOSIA JADWISIA.

ZOSIA.

Jakże w duszy mi radosno!

JADWISIA.

I mnie także!...

ZOSIA.

Poszły kwiatki...

Frunął ptaszek z złotej klatki,
Dar piękniejszy dzisiaj damy,
Godny serca drogiej mamy!
Szczęściem wdowy tej z poddasza,
Niech się cieszy mama nasza!
(*ściskają się wesole*).

B A N A N Y.

W strefach zwrotnikowych, gdzie zboże nie może być uprawiane dla zbyt gorąca, banany z gatunku *pizang* należą do najważniejszych artykułów żywności. Są to rośliny zielne, ale postacią wspaniałą zbliżają się do palm. Wyobraźcie sobie drzewo wysokie, złożone z samych liści ogromnych, które dochodzą czasem 10 stóp długości na stopę szerokości. Niema tam właściwie łodygi, tylko liście grube, mięsiste, z równie grubymi ogonkami, które u dołu rozszerzają się w pochewki i owijają jedno na drugich. Wszystko to co rok opada, a z korzenia nowe wyrastają liście. Z pośród nich zwieszają się grona owocowe, także niepospolitych rozmiarów. Owoce bananu, podobne z powierzchowności do ogórków, smak mają wyborny, mączyste są i słodkie. Pięką je jak chleb i przyrządzają z nich napój orzeźwiający. Nietylko owoce, lecz i rdzeń łodygowy i młode wypustki bananów służą za pokarm i rozmaicie są przyrządzane.

Inny gatunek, uprawiany na wyspach Filipińskich i zwany tam *abaką*, nie wydaje tak smacznych owoców, ale za to dostarcza włókien mocnych, z których krajowcy wyrabiają odzież i rozmaite tkaniny. Przędziwo to wywożą do Chin, Japonii, a nawet do Ameryki, gdzie je nazywają przędziwem Manilskiem. Znając potężne rozmiary bananów, łatwo sobie wyobrazić, że daleko większą ilość włókien dostarczyć mogą od lnu i konopi. Włókna te zawierają się w ogonkach i pochewkach liściowych, z których się składa łodyga, miękka i rozdziela się łatwo na warstwy. Każda z tych warstw, gdy nieco przegnije, urządza się podobnie, jak nasze konopie, za pomocą stosownego narzędzia, które oczyszcza włókna, zdzierając z nich wierzchnią skorupę.

Banany dziko rosnące dochodzą niekiedy zadziwiających rozmiarów, jak na rośliny zielne. Wyobraźcie sobie takie ziółko, o miękkiej zielonej łodydze, która ma sześć stóp obwodu, dwadzieścia stóp wysokości i podtrzymuje liście olbrzymie, czasem bardzo ozdobnie zabarwione żyłkami czer-

wonemi. Nasza rycina przedstawia pizang, zwany także figą rajska, a niżej strelicyą, gatunek pięknie kwitnący, często w cieplarniach utrzymywany.

Ale bywają także drzewiaste banany, które mają pnie prawdziwe, korą pokryte. Z tych najpiękniejsza jest *rawenala*, przezwana drzewem podróżników. Ciekawi jesteście zapewne, do czego to piękne drzewo przydać się może podróżnym, więcej niż innym ludziom, ale to łatwo wytłómaczyć. Ludzie stale gdzieś osiedleni, mają zawsze pod ręką studnię lub źródło, z kąd czerpią wodę do picia, wędrowiec zaś, gdy zapuści się w okolicę nieznaną, nieraz znużony, spragniony, napróżno szuka orzeźwiającego źródła. Wtém zdaleka spotrząga piękne drzewo o wielkich, wspaniałych liściach; poznaje je, to rawenala, nie darmo drzewem podróżnika zwana, w jej pochewkach liściowych znajdzie on źródło świeżej wody; przebić je tylko potrzeba przy nasadzie ogonka, a woda natychmiast wypłynie obficie.

WIĘZIEŃ KRÓLA AUGUSTA,

OPOWIADANIE Z DZIEJÓW WYNALEZKÓW.

(Dalszy ciąg).

— Ale, mistrzu — odezwał się Walter — z czegoż oni swoje tygły robili, ci wszyscy szczęśliwi ludzie, o których opowiadacie, że im się wielkie dzieło udawało?

— A któż to wiedzieć może? Niejedną noc spędziłem nad księgami, zgłębiając naukę mędrców. Każdy z nich, zdobywszy kamień filozoficzny, ukrywał starannie swoją wiedzę i nawet po śmierci pozostawiał tylko opisy w słowach tajemniczych, niezrozumiałych.

— Kamień filozoficzny? — powtórzył Walter — a cóż to znów za kamień, czy także złoty lub srebrny?

Böttger uśmiechnął się dobrotnie z tej wiadomości chłopaka. W zwyczajnych okolicznościach nigdyby się nie zniżał do tak poufałej rozmowy z prostym posługaczem; ale nie mając innego towarzystwa w tym samotnym więzieniu, rad był bardzo, że mu się nadarzył słuchacz, który z zachwyceniem i uwielbieniem najwyższem chwytął każdy jego wyraz. I teraz więc na pytanie jego odpowiedział w te słowa:

— Kamień filozoficzny, czyli kamień mądrości, jest to substancja cudowna; kto ją posiada, jest panem świata całego, a nawet panem życia i śmierci. Jeżeli mamy wierzyć starym księgom, za po-

mocą tego kamienia można zrobić, nietylko złoto i srebro, ale eliksir, dający nieśmiertelność.

— Jakto — zawołał Walter -- i byli tacy, co ten eliksir robić umieli, a jednak poumierali?

— Bo też ja ci powiem w zaufaniu, mój chłopcze, że ja niezupełnie w to wierzę, aby taki eliksir miał istnieć na prawdę. Nie trzeba wymagać rzeczy nadzwyczajnych. Jabym już poprzestał na tém, żeby mi się udało złoto zrobić, a co do tego, to żadnej nie ulega wątpliwości, że byli tacy szczęśliwi, co je robili. Nie wyjawili jednak nikomu swę tajemnicy wyraźnemi słowy, a chcąc ich księgi zrozumieć, trzeba odgadywać wszystko.

— A wy, mistrzu, czy nie znaliście nigdy oświadczenia takiego mędrca?

— I owszem; w Berlinie przebywał pewien uczony Włoch, on to pierwszy roztoczył przed oczyma mojemu światne, nieznane widnokręgi nauki alchemii. Widziałem na własne oczy złoto, które robił, wykrył mi swoje tajemnice, a wyjeżdżając zostawił troszkę cudownego proszku i cieczy w flaszkach. Póki jedno i drugie się nie wyczerpało, ja także robiłem złoto, prawdziwe, błyszczące złoto, ale potem, nie wiem, czy zatraciłem szacowną tajemnicę, czy też chytry Włoch nie wykrył mi jęj w całości, ale już mi się nie udawało i teraz, jak widzisz, darmo nocy trawię nad mozolną pracą, księga tajemnic nie chce się otworzyć przedemną. Posłuchaj na przykład, co mówi jeden z największych mędrców, który posiadał kamień filozoficzny: „Synu! oto masz rozkaz mój, klucz wielkiej umiejętności! Zastudzisz żywe srebro. Z wielu rzeczy uczynisz 2, 3, i 3. Od 4 do 3 jest 1. Od 3 do 4 jest 1. Więc 1 i 1, 3 i 4. Od 3 do 1 jest 2. Od 2 do 3 jest 1 a więc 1. — Wyrzekłem wszystko!“ Otóż w tych liczbach, w zestawieniu ich, mieści się niezawodnie cała tajemnica. Mędrzec nie chciał jęj wydać na łup gminu, ale niestety! dziś i największy uczony nie zdoła myśli jego zgłębić i odczytać. Ja sam darmo sobie głowę łamię, że wstydem wyznaję, że nic nie rozumiem.

— O, nie dziwię się wcale — rzekł Walter — liczby to strasznie trudna rzecz. Ja bo nigdy nie mogłem spamiętać tabliczki mnożenia i nauczyciel w szkole powtarzał, że nie będę mędrce. A jednak, kto wie; jeżeli wam, mistrzu, uda się wielkie dzieło, to przecież nie będziecie tak zazdrośni, jak ci ludzie, co te starożytne księgi pisali i wyuczycie mię swojej mądrości,

— Solennie ci to przyrzekam. Tyle w tobie widzę dobrych chęci, tak szczerą przychyłność, że nie chcę cię uważać za posługacza, ale za ucznia i przyjaciela. Przekażę ci umiejętność swoją; nauka nie zna różnicy stanów.

— O dziękuję wam, mistrzu. Jutro stanowczo powiem stryjowi, że nie myślę iść do rzemiosła, jak to sobie stryjaszek ukartował. Tylko wy, mistrzu, zlitujcie się nademną i powiedźcie panu komendantowi, że nie możecie się obejść bezemnie, bo stryj chodził już ze swęj strony z prośbą, ażeby wam kogo innego dali na posługi. Stary ciągle gderze i powtarza, że to grzech czarami się zabawić, a potem, że ja się tu przy was rozpróżnuję i nabiję sobie głowę szaleństwami. Ach, ci starzy nie mają wyobrażenia o nauce, o mądrości, a ciągle tylko o pracy prawią. Ciekawa rzecz, poco ja mam pracować, jak nędzny wyrobnik, jeżeli się nauczę złoto robić.

— Ba! i jabym także chętnie odpoczął, gdyby mi się już raz to wielkie dzieło udało. Ale teraz powiem prawdę, czasem mi tak to wszystko dokuży, że gdyby mię król August chciał z tęg kozy wypuścić, wolałbym cepem młócić, niż z temi przekłętymi tyglami się porać.

— Niechże Bóg broni, mistrzu, żebyście się z niemi rozstawać mieli. Mnie ta robota tak zajmuję, że do wszystkiego straciłem ochotę od kiedy tu z wami przesiaduję. Nawet i we śnie widzę ciągle wasze tygle i wielkie, ogromne kupy złota. Mistrzu, opowiadajcie jeszcze o tych wielkich alchemikach, co to w dawniejszych czasach żyli i złoto rozsypywali garściami.

— Oj, było tych wielkich ludzi nie mało na świecie—mówił Böttger.—Jeden z najslawniejszych nazywał się Mikołaj Flamel, żył przy końcu XIV wieku w Paryżu. Był te człowiek ubogi, utrzymywał się z pisania, lecz najpiękniejsza kaligrafia, ba nawet i autorstwo, zazwyczaj skarbów nie daje. Wielkie szczęście spadło na niego niespodzianie. Usłyszał we śnie głos tajemniczy, a ten mu wyjawiał, gdzie jest ukryta starożytna hebrajska księga, zawierająca mądrość wiekową. Flamel znalazł księgę, ale tak samo, jak i ja, nie mógł owę mądrości zrozumieć. Gdy się tak biedził i mozolił, znowu we śnie usłyszał głos: Jedź do Hiszpanii, znajdziesz tam uczonego żyda, ten ci tajemnicze wyrazy księgi wytłómaczy. Pojmujesz, że Flamel nie namyślał się długo, porzucił nudne swoje pisanie i wyruszył do Hiszpanii. Tam w rzeczy samęj spotkał sędziwego żyda, który czytał tak gładko w staręj księdze i tak ją doskonale rozumiał, że wszystkie ciemności rozjaśniły się przed oczyma szczęśliwego Flamela. Powróciwszy do kraju, zarzucił niewdzięczne swoje rzemiosło i tyle narobił złota, że nietylko ogromny majątek zostawił spadkobiercom, ale pobudował mnóstwo kościołów i szpitali; prawda, że złe języki wszystko to w innym świetle przedstawiały. Mówiono na przykład,

że Flamel z pomocą owego uczonego żyda nie tylko alchemią się zajmował i nie tylko z ksiąg starożytnych uczył się sposobów zbierania skarbów. Powsażano mędrca o różne lichwiarskie spekulacje, a nawet o oszustwo, fałszerstwo; czego to złość ludzka nie wymyśli. Utrzymywano nareszcie, że owe szpitale i kościoły pobudował Flamel, gdy go sumienie trapić zaczęło, chcąc tym sposobem zgładzić swoje grzechy, a ludziom, którzy go podejrzewali, zamknąć usta dobrymi uczynkami.

— Cóż dziwnego, że biednego Flamela ogadali — odezwał się Walter, który z największą uwagą słuchał tego opowiadania — niedaleko szukając, mój stryj także za nic uwierzyć nie chce, a żeby można było tak łatwo się wzbogacić bez grzechu. Albo to są czary, powiada, grzech ciężki, albo oszustwo, a więc także grzech. Oj, ci starzy, ci starzy!

— Trzeba jednak przyznać — mówił dalej Böttger — że niewielu było alchemików tak szczęśliwych, jak ów Mikołaj Flamel. Przed stu laty wstąpił się był niezmiernie uczony Michał Sędziwoj, rodem z polskiego kraju, gdzie to panuje pan nasz miłościwy, król August. Ten odziedziczywszy po ojcu znaczny majątek, puścił się w podróż, zwiedził wszystkie znaczniejsze miasta europejskie i spotkawszy się z uczonym jednym alchemikiem, Setonem, poświęcił się tej wielkiej nauce, osiadł w Pradze czeskiej i prawdziwych cudów dokazywał. Oprócz złota umiał on przyrządzać różne eliksiry, przywracające zdrowie chorym. Jakim sposobem, posiadając taką umiejętność, dostał się Sędziwoj do więzienia za długi, tego nie rozumiem, tak jednak było i przyjaciele musieli go wykupić zwyczajnem, nie alchemicznem złotem. Później wszakże lepiej mu się powiodło, mieszkał czas jakiś w Krakowie i w wielkiem był poważaniu u króla polskiego Zygmunta I; podobno nawet zrobił w jego obecności parę bryłek złota, czém cały dwór wielce zadziwił i zachwycił. Przebywał także na dworach innych monarchów. Raz pewien magnat niemiecki uwięził go, chcąc zmusić, aby wykrył swoją tajemnicę, tak samo, jak oto mnie król August. Ale szczęśliwszy odemnie Sędziwoj umknął z pomocą swojego wiernego sługi, a cesarz Rudolf III za karę zmusił chciwego magnata, aby własne swoje dobra oddał pokrzywdzonemu. Od księcia wirtemberskiego otrzymał także Sędziwoj wielkie dobra, nie mógł jednak w spokoju używać sławy i bogactw, los zawistny go przesładować zaczął; nieprzyjaciele się na niego sprzysięgli, pewien alchemik, zazdroszcząc mu sławy i bogactw, napadł na niego z bandą hultajów i zrabował, nie tylko kosztowności, ale szacowne eliksiry, proszki i księgi, zawierające przepisy wypróbowane. Niegodziwiec ten wprawdzie ukarany był

przykładnie, skazano go na śmierć, ale Sędziwoj poniósł nieodżałowaną stratę, gdyż nie odzyskał już nigdy swoich alchemicznych sekretów, musiał więc na starość osiąść na wsi i w ciszy i mierności dokonał życia.

— Ależ to okropne jest, mistrzu — rzekł Walter, gdy Böttger umilkł nareszcie — to okropne, że ta nauka tak się człowiekowi z pod rąk wymyka i nigdy nie można być pewnym, choćby się już i udało naprawdę złoto zrobić, czy się ta sztuka jutro uda znowu. Ja myślałem, że byle raz te tajemnice poodgadywać, to potem człowiek może spokojnie odpoczywać i bez wielkiego kłopotu złoto sobie sporządzać w miarę potrzeby. Te trudności wcale mi w smak nie idą, bo to coś na to wychodzi, co stryj powiada, że chyba to wszystko jest tylko złudną marą.

— A jednak nie ulega wątpliwości — mówił Böttger, — że można przemieniać metale jedne na drugie. Jest na przykład płyn, zwany błękitnym witryolem; otóż gdy zanurzymy w nim kawałek żelaza, po pewnym przeciągu czasu żelazo znika, a na jego miejscu pojawia się takiż sam kawałek miedzi.

Musimy tu wytłómaczyć naszym czytelnikom, że Böttger, tak jak wszyscy alchemicy, mylił się w tym razie najzupełniej; nie wiedział bowiem, że to, co nazywano błękitnym witryolem, jest to rozczyn koperwasu miedzianego, zawierający w sobie miedź, a ta osadza się na zanurzonem w roztworze żelazie, pokrywa je cienką warstewką, i żelazo przybiera pozór miedzi.

— O, jakże to już późno — rzekł Böttger, gdy wielki zegar ścienny uderzył drugą godzinę po północy — idź spocząć, chłopcze, a i ja przespać się muszę. Ale zapomniałem zapytać, czy przyniósłeś z miasta trochę pudru? moja peruka potrzebuje być już odświeżoną. Jutro król ma przybyć na zamek i pewnie wstąpi do mojej pracowni. Będzie znów nalegał na mnie, abym mu dał złota, a ja tu muszę prosić o zapomogę, bo mi zabrakło różnych materiałów i to właśnie najkosztowniejszych. Król już się rzymać zaczyna, że tyle mi pieniędzy wypłacać musi ze swojej szkatuły, ale na to niema rady,

Walter tymczasem wyjął z szufladki niewielkie zawiniątko i podał je Böttgerowi, mówiąc:

— Oto jest puder, mistrzu, dajcie mi swoją perukę, ja ją jutro oporządczę, nim król nadjedzie.

— Dobrze, dobrze, ale pokażno ten puder; zdawało mi się zeszłą razą, że był trochę wilgotny; uważaj dobrze, Walterze, a żeby tylko zupełnie suchego pudru używać, bo mi popsujesz perukę.

— Ależ suchy, suchy, bądźcie spokojni; a jaki miałki i biały. Zkąd on takiej pięknej mąki dosta-

je, ten ojciec Matyas. Chyba to nie mąka, patrzcie no mistrzu, to jakieś oszukaństwo. Stary musiał natłuc kredy, albo gliny...

— A gdzieżeś ty widział taką białą i piękną glinę?... ale masz słuszność, że to nie jest zwyczajny puder—mówił Böttger, dotykając palcami białego proszku i przyglądając mu się starannie.—Proszę cię, mój Walterze, zostaw mi tu szczyptę tego pudru, a jutro staraj się wybadać ojca Matyasa, z kądem go ma i co to jest takiego.

Odszedł Walter, a Böttger przez kilka minut jeszcze przebierał w palcach biały proszek, potem umieścił go starannie w jednej ze skrytek, gdzie przechowywał różne kosztowne materyały do swoich alchemicznych robót i nakoniec spać się położył.

Nazajutrz po południu muzyka wojskowa iębny obwieściły przybycie króla Augusta do Königssteinu. Załoga zamkowa uszykowała się szeregiem na dziedzińcu, komendant stał u bramy. Król wjechał na dzielnym rumaku, otoczony świetnym orszakiem panów dworskich, powitał wszystkich lekkim skinieniem głowy, potem natychmiast kazał się prowadzić do mieszkania Böttgera. Nasz alchemik, przygotowany do tych odwiedzin, stał u progu wyświeżony, w pięknie ufryzowanej i upudrowanej peruce, za próg nie wolno mu było wychodzić.

— No cóż tam, mistrzu—zapytał król August łaskawie — kiedyż nakoniec dasz sobie ten dziwny upor wybić z głowy? A może już masz tam dla mnie choć jedną brylkę złota w swoich tyglach. Przecież na brak materyałów skarżyć się nie możesz, niedawno znów wyasygnowałem dla ciebie z mojej szkatuły sto talarów bitych.

— Właśnie też oczekiwałem przybycia Waszej królewskiej Mości — odrzekł Böttger z uszanowaniem—chcę zanieść prośbę o kwit na pięćdziesiąt talarów, za które muszę kupić nowe tygle, bo dawne wszystkie popękały; potrzebuję także różnych ingrediencyj, bo dawniejsze zapasy się wyczerpały (D. c. n.).

PUSZCZA MYSZYŃIECKA

I JĘJ MIESZKAŃCY.

Nie jeden z was zapewne, młodzi czytelnicy, wie tyle tylko o Kurpiach i ich siedzibie, co zapamiętał z historii polskiej o dzielnym odparciu Szwedów przez mieszkańców puszczy myszyńieckiej. Lud

ten mało jest znany obecnie w dalszych okolicach kraju, oddawna bowiem niczem nie zwracał na siebie uwagi. Ale w roku zeszłym wiele mówiono i pisano w dziennikach naszych o Kurpiach, a to z tego powodu, że klęska głodu ich nawiedziła; zbierano też dla nich hojne składki w Warszawie. Przypomniawszy sobie Kurpiów, zaczęto pilniej się zajmować i dawniejszą historią tego ludu, w której wiele można odszukać szczegółów ciekawych. Przrzekliśmy wam podawać opisy różnych okolic naszego kraju, bo wstyd byłoby więcej wiedzieć o Australii, Ameryce i Afryce, aniżeli o ziemi rodzinnej i jej mieszkańcach. Chociaż opisy podróży po tych krajach zamorskich są może więcej zajmujące, nie wątpimy, że i nasze opowiadania zechcecie także czytać z uwagą i oderwiecie się na chwilę od puszczy australskich, aby się bliżej zapoznać z puszczą myszyńiecką.

Pomiędzy rzekami Bugiem i Narwią, w okolicach Ostrołęki, na przestrzeni kilkunastu mil, ciągnęły się niegdyś ciemne, nieprzebyte bory, gdzie od czasów niepamiętnych zamieszkał lud, znacznie różniący się obyczajami i sposobem życia od innych mieszkańców okolicznych. Puszcza ta dawniej od rzeki Skwy nazywała się Skwańską, później Ostrołęcką od starostwa tegoż nazwiska, następnie od miasta Myszyńca, Myszyńiecką. Nazwa Kurpiów, mieszkańców tej okolicy, pochodzi od obuwia, które sobie wypłatają z łyka lipowego i nazywają *kurpiami*. W dawniejszych czasach ludność ta trudniła się głównie hodowaniem pszczoł po lasach, czyli bartnictwem, i myśliwstwem, gdyż w gąszczach leśnych pełno było dzikiego zwierza. Kurpie mieli swoje przywileje i prawa odrębne, jakich nie posiadali wieśniacy w innych częściach kraju zamieszkali; odróżniano pomiędzy nimi strzelców i bartników, ale byli tam oprócz tego rzemieślnicy rozmaitego rodzaju. Jak się rządził strzelcy, o tem nie mamy prawie żadnych wiadomości, ale ustawy bartników, czyli prawa bartne, przez królów polskich potwierdzone, w całości się przechowały. Bór należał do króla, a bartnik był niejako królewskim dzierżawcą, opłacał podatek w miodzie, i małą kwotę pieniężną, wartość skórki kuny. Każdy miał w lesie swój *pólborek*, to jest pewną przestrzeń, gdzie mu wolno było miód podbierać w barciach, wyżłobionych wysoko na pniach sosen. Załączony rysunek przedstawia, jak się to podbieranie odbywało. Bartnik wlażył na drzewo, a trzymając go się nogami i lewą ręką, prawą uwiązywał na pniu sznur, podtrzymujący małą deseczkę, na której się wygodnie sadowił, jakby na fotelu.

Kurpie nie mieli dawniej ani wiosek, ani żadnych osad, liczniej zamie zkałych, chaty ich porzucane były po całym lesie, a bartnik najczę-

ścię na całe lato opuszczał swoją chatę i przebywał w lesie pod namiotem, skleconym na prędcie z suchych gałęzi, skór i liści. Musiał też zawsze i czołenko mieć pod ręką, gdyż często nie mógł inaczej dostać się do swoich barci, gdy wezbrane rzeki lub roztopy śnieżne pozalewały przejścia w lesie.

Starosta z Przasnysza, Krzysztof Niszczycki, mieszkający pomiędzy Kurpiami w połowie XVI wieku, pierwszy opisał dokładnie ich sposób życia i tak zwane prawo bartne, to jest ustawy, które im się rządili bartnicy. Mieli oni swojego naczelnika, zwanego starostą bartnym, którego wybierali sami, z pomiędzy ludzi znanych z prawości i jak najlepszej sławy używających. Starosta do pomocy dobierał sobie innych urzędników, sędziów, podsędków, pisarzów, dwa razy do roku odbywały się roki, to jest sądy, na które wszyscy bartnicy obowiązani byli się stawić i tam rozsądzano wszelkie sprawy i rozstrzygano spory. Ale i prostym bartnikiem nie mógł być człowiek, na którym ciążyła jakakolwiek plama, lub przybysz obcy, nie mogący przedstawić dobrego świadectwa o sobie. Piękny jest bardzo ustęp prawa bartnego, który to zastrzeżenie zawiera: „Wszak kąkol, lub zielsko, oset ze wszelkiego zboża wrywają, aby czyste było, tak też i bartnicy, aby nie mieli między sobą złodziejów w towarzystwie i bractwie swoim, wszędy tego doglądać winni bartnicy, jakoteż sędzia, podsędek i podstarości bartny, i wypytwać się, z kąd przychodzi, ażeby świadków miał i metrykę przed sądem przedstawić“. Prawa bartników były bardzo surowe dla złodziejów; za wydzieranie cudzych pszczoł często śmiercią karano, a za najdrobniejszą kradzież skazywano na wielkie pieniężne kary, oprócz tego imię winnego zapisywano do księgi bartnej, co już nie tylko dla niego, ale i dla całego rodu było hańbą niezmyślaną. Dziś już nie

istnieją te srogie ustawy, a jednak kradzieże są niezmiernie rzadkie u Kurpiów, poszanowanie cudzej własności pozostało wiodzoną ich cnotą.

Kurpie mieli także w swęj puszczy kopalnie rudy żelaznej, sami ją w hutach przetapiali i kuli żelazo. Tak samo, jak bartnicy, górnicy opłacali tylko czynsz do skarbu królewskiego. Dziś te kopalnie już są zaniedbane. Wydobywano także z ziemi piękny bursztyn, z drzew iglastych wypalano smołę, a tak, jak widzicie, puszcza ta nie była

zupełnie dziką, gdyż przemysłni jej mieszkańcy już za dawnych czasów rozwinęli u siebie przemysł, rzemiosła i nawet dość znaczny handel. Dwa główne gościńce przeznęły rozległe bory; jeden szedł z Warszawy przez Ostrołękę do Augustowa, a zamtąd na Litwę, drugi od Ostrołęki zwracał się ku Prusom do Ortelsburga, czyli Szczytna. Tym ostatnim gościńcem często zajeżdżali do Kurpiów kupcy niemieccy i wywozili od nich miód, skóry i futra.

A jednak lud ten przemysłny i poczciwy pozbawiony był prawie zupełnie oświaty religijnej, gdyż nie miał u siebie ani kościoła, ani kapłanów, ani szkółek. Dopiero w XVII wieku, za panowania

króla Jana Kazimierza, pobożna jego małżonka, Marya Ludwika Gonzaga, osadziła w puszczy misjonarzy ze zgromadzenia Jezusowego i pobudowała im kaplicę. Odtąd kapłani ci stale się tam osiedlili, gromadzili i nauczali lud, odprawiając nabożeństwo w namiotach i szopach, a później w miejscu, gdzie była pierwsza osada Ojców Jezuitów, stanęło miasteczko Myszyniec. Na początku XVIII wieku starosta ostrołęcki, Jan Kos, rozpoczął budowę pięknego murowanego kościoła, który jednak dopiero później, po jego śmierci, ze składek dokończono.

(D. c. n).



B a n a n y.

WYPRAWA

PO SKARBY UKRYTE WŚRÓD PUSZCZY.

Przygody podróżników w Australii.

(Dalszy ciąg).

Na całym świecie podobno niema brzydszych istot ludzkich od krajowców australskich. Trudno sobie wyobrazić coś wstrętniejszego, jak te czarne, chude, kościste postacie, przybrane w łachmany europejskiego stroju, a czasem nawet w dziurawe kapełuszki. Garderoba ich wygląda zupełnie, jak gdyby pochodziła z koszów gałganiarzy.

Spędziwszy cały tydzień w australickim mieście, zwiedziwszy kopalnię złota, które już dziś, w rękach kompanii przemysłowców, wcale odmienny przedstawia widok, zacząłem się nudzić na dobre, szczęściem jednak przypadek niespodziewany usłużył mi wybornie w tym razie. Spotkałem się z trzema Anglikami, których

znałem kiedyś w Indyach, a byli to zapaleni myśliwi, nieraz przebiegaliśmy razem zarośla i niezmierzone płaszczyzny, tropiąc tygrysy lub lekkie gazele. Zasiadłszy przy stoliku w restauracji hotelowej, zaczęliśmy sobie przypominać rozmaite przygody myśliwskie. Jeden opowiadał, jak nad brzegami Gangesu strzelał do tygrysów, siedząc na grzbiecie potężnego słonia. Drugi mówił o niezmierzonych lasach Afryki południowej, o lwach, girafach, hipopotamach. Inny tęsknił już nawet do europejskiej, skromnej obławy na wilki. Wszyscyśmy się zgodzili na to jednogłośnie, że nim opuścimy łąd australski, musimy upolować koniecznie

parę olbrzymich kangurów. Postanowiliśmy niezwłocznie wyruszyć na tę wycieczkę, przygotowania nie wiele nam czasu zabrały, dnia 23 Stycznia mieliśmy się stanowczo puścić w drogę.

Przypomnimy tu w kilku słowach europejskim naszym czytelnikom, że w Australii, to jest na południowej półkuli, Styczeń jest najgorętszym miesiącem lata; gdy u nas największe mrozy dokuczają, a dni są krótkie i ciemne, tam właśnie słońce w najlepsze przygrzewa i dni wypadają najdłuższe.

Poszedłem do Szkockiego hotelu pożegnać się z doktorem Stephensonem, z którym szczerze zaprzyjaźniłbym się w czasie morskiej podróży.

— Kochany doktorze — rzekłem zaraz na wstępie — przychodzę na pożegnanie.

— Czy już? zapytał z uśmiechem.

— Duszno mi tu w tym mieście, z a b l a k a n e m wśród puszczy i lasów dziewiczych. Potrzebuję powietrza, ruchu i swobody.

— I gdzież pan myślisz się udać?

— Sam jeszcze nie wiem; ale do-

brałem sobie towarzyszków, którzy niemniej odemnie spragnieni są wrażeń i przygód, postanowiliśmy wyruszyć ku północy, gdzie oczy poniosą, byle już raz stracić z oczu jednostajny widok wielkich domów, ustawionych szeregiem, byle nie słyszeć gwiżdżu lokomotyw, nie zasiadać uroczyście do stołu w restauracji, słowem dokuczyła nam ta wasza sztuczna cywilizacja australska, wolimy widok przyrody.

— O, gdybym był młodszy o lat dwadzieścia — rzekł doktor z westchnieniem — jakżebym chętnie wam towarzyszył.

— Ej, kochany doktorze, mógłbyś to jeszcze



Bartniak kurpiowski.

i teraz uczynić, wyglądasz pysznie i darmo chcesz udawać starego. Ale wstydzisz się przyznać do lenistwa, więc dajmy temu pokój. Przyszedłem ci tedy powiedzieć, że wyruszam jutro o świcie, wraz z trzema dzielnymi towarzyszami. Każdy z nas zabiera z sobą konia wierzchowego i psy. Najpierw udajemy się prosto do osady, w której mieszka bogaty Anglik, sir Reed (Rid). Po drodze spotkamy gdzie może kangury i zapolujemy na tę zwierzynę, której jeszcze nigdy na własne oczy nie oglądałem. Ach, co to za rozkoszna będzie wycieczka!

— Tak, tak, nie przeczę; byleście tylko nie zabłądzili w zaroślach i nie zginęli z głodu i pragnienia wśród tej puszczy, która niemniej jest straszną od piasków afrykańskich i lodów północy. Nie mogąc wam towarzyszyć, muszę wam przynajmniej udzielić niektórych rad, z własnego doświadczenia zaczerpniętych. Niedowierzajcie tym wspańiałym puszczołom, które przebywać będziecie; straszniejsze są one od spiekłych piasków afrykańskich, dla tego właśnie, że tak złudnie wyglądają. Strzeżcie się; niejednen pporóżnik śmierć znalazł w australskich puszczech. Pamiętajcie nade wszystko zaopatrywać się zawsze w obfite zapasy żywności, a i o wodzie nie zapominajcie. Można czasem przejść sto mil, nie napotkawszy kropelki wody po drodze. Oszczędzajcie koni i miejcie o nich staranie; ratunek podróżnika często zależy od nóg jego wierzchowca.

— Dzięki, serdeczne dzięki, kochany doktorze; ale ja byłem już nieraz w rozmaitych niebezpieczeństwach. Jestem obywatelem całego świata. Bywaj zdrow, a raczej do widzenia niezadługo.

— A więc do widzenia i szczęśliwej podróży panu życzę z całego serca, ale na prędko powrót nigdy z taką pewnością liczyć nie można zapuszczając się w puszcze—rzekł pocziwiec, ściskając moją rękę.

Nazajutrz w chwili, gdyśmy mieli wsiadać do wagonu, gdyż odjeżdżaliśmy koleją z Melbourne do stacyi poblizkiej, posłaniec wręczył mi paczkę starannie opieczętowaną, z następującym napisem:

„Panu B. od starego przyjaciela, doktora Stephensa. Proszę nie otwierać pudełka, aż za miesiąc po rozpoczęciu podróży, lub w razie nagłego niebezpieczeństwa“.

Schowałem tajemniczą przesyłkę i wyznać muszę, że wkrótce o niej zapominałem; tyle innych myśli miałem na głowie. W pięć godzin po wyjeździe z miasta wysiadaliśmy z wagonu, z osobnego przedziału wyprowadzono nasze konie i psy, a po chwili wyruszaliśmy wesoło do poblizkiej osady, w której mieszkał dawny znajomy i przyjaciel jednego z moich angielskich znajomych, sir Tomasz

Reed. Wierny mój sługa i nieodstępny towarzysz wszystkich wędrowek, Cyryl, prowadził psy na smyczy. Z kilkudziesięciu psów myśliwskich, doskonale ułożonych do polowania wszelkiego rodzaju, pozostało mi już tylko dziesięć; każdy z nich wart był co najmniej kilkadziesiąt dukatów. Byłem niezmiernie przywiązany do tych pocziwych zwierząt i wszędzie je z sobą woziłem, jakkolwiek wszystkie te przeprawy po lądzie i morzu sporo mię kosztowały. Nie skończyłbym tak prędko, gdybym chciał opowiedzieć, choćby tylko niektóre bohaterskie czyny moich piesków, straszne przygody, któreśmy razem przebywali, a w których niejednen z nich śmierć poniósł. I tak: Neron pochłonięty był przez ogromnego węża dusiciela, w lasach Guyany; zamordowałem węża, ale nie mogłem życia powrócić wiernemu psu. Stentor, ukąszone w pysk przez grzechotnika, zginął pod cieniem palmy, na indyjskiem wybrzeżu. Margano śmierć znalazł w Luizyanie, na dnie rzeki, porwany przez potwornego alligatora. Ze sześć psów najdzielniejszych utraciłem w Kordylarach; uratowały mi życie, czepiając się u szyi rozjuszonego żubra i pociągając go za sobą na dno straszliwej przepaści.

Pozostały dziesiątek jeszcze się nieźle trzymał, pomimo licznych blizn i dość sędziwego wieku, a co jest najdziwniejsze, wszystkie moje psy rzucały się bez namysłu na każdą zwierzynę. Silny muł dźwigał za nami nasze pakunki, a każdy z nas miał przy sobie bussolę; jest to ostróżność niezbędna w takiej podróży wśród nieznanых okolic.

Mieliśmy także i przewodnika. Był to stary krajowiec australski, któremu major Harwey, jeden z moich towarzyszy, uratował kiedyś życie, za to pocziwiec ten przywiązał się do niego jak wierny pies. Miał on być kiedyś pożarty na jakiś uczenie ludożerczej, którą major przerwał, rozpędzając żarłoków i rozcinając więzy biedaka, przeznaczonego na pieczyste.

Ale dnia tego przewodnik nie bardzo nam był potrzebny, przebyliśmy niewielką przestrzeń w przeciągu kilku godzin, pomimo dokuczliwego upału, zachwycaliśmy się wspaniałymi widokami i bez żadnego wypadku przybyliśmy na miejsce.

A teraz powiedzmy w kilku słowach, co to się w Australii nazywa osadą. Łąd ten na znacznych przestrzeniach pokryty jest niskimi drzewami i krzakami, a gęstwina trudniejsza jest czasem do przebycia od prawdziwych lasów. Rząd angielski odstępuje za niską cenę bogatym przemysłowcom ogromne obszary takich zarośli, *busch*, jak je nazywają Anglicy, pod warunkiem, aby je karczowali i zamieniali na urodzajne grunta. Tacy osadnicy zakładają najpierw mieszkania, zabezpieczone od

napaści krajowców naksztalt obronnych zameczków, sprowadzają licznych robotników do karczowania i uprawiania ziemi, przytém obowiązani są utrzymywać składy żywności, broni, narzędzi wszelkiego rodzaju i sprzedawać te wszystkie przedmioty za cenę umiarkowaną podróżnym Europejczykom.

Gdyśmy przybyli do osady Trzech Źródeł, której właścicielem był sir Reed, przyjaciel majora Herweya, zastaliśmy tam wielki ruch i ożywienie niezwykle. Na podwórzu stało szeregiem sześć ogromnych wozów, jakich zazwyczaj używają osadnicy angielscy. Każdy taki wóz ma około sześciu metrów długości, przykryty jest budą płócienną, zaprząg składa się z ośmiu lub dziesięciu koni. Podróżny, zapuszczając się w niezmierzone puszcze, musi zabierać z sobą takie prawie zapasy, jak żeglarz, gdy wypływa na tonie oceanu: broń, żywność, narzędzia rozmaite, a nawet i beczki z wodą. Nigdy nie można się spuszczać na to, co się dostanie po drodze. Liczna służba krzątała się około tych wozów, smarowano osie, uwiązywano uprzęż, oglądano starannie okucia u kół, widocznie gotowano się do drogi.

Zawiadomiono gospodarza o przybyciu gości, wyszedł też niezwłocznie na nasze spotkanie. Był to starzec sześćdziesięcioletni, włosy jego jak śnieg białe, łagodne oczy niebieskie, wyraz twarzy łagodny i nieco smętny, od pierwszego wejrzenia miłe na mnie wywarły wrażenie. Pomimo podeszłego wieku, sir Reed był jeszcze silny i krzepki, wzrost miał okazały, trzymał się prosto, mógł jeszcze śmiało stawić czoło trudom i niebezpieczeństwom. Tuż za nim ukazało się dwóch młodzieńców, podobnych do niego i ubranych, podobnie jak on, według najświeższej mody europejskiej; wszyscy trzej jednak, zamiast sztywnych kapeluszy, mieli rodzaj kasków wyplatanych z palmowych włókien i owiniętych przezroczystą tkaniną, naksztalt zawoju.

Ujrawszy majora, dawnego swojego przyjaciela, sir Reed w uniesieniu radości rzucił mu się na szyję, zapominając o flegmie i powadze prawego Anglika.

— Henryku! Tomaszu! — wołali obaj kolejno — cóż to za szczęście, żeśmy się jeszcze w tém życiu spotkali!

Następnie major przedstawił nas przyjacielowi, który serdecznie przyjął dwóch swoich rodaków, mnie zaś nadzwyczaj pochlebił, oświadczając, że mię już zna oddawna z nazwiska, gdyż czytał z zajęciem opisy moich podróży. Dwaj młodzieńcy byli to jego synowcy. Starszy, Edward, służył w marynarce i miał już stopień oficera, młodszy, Ryszard był podporucznikiem w wojsku lądowym.

Dwaj towarzysze majora, porucznik Mac-Crowly i kapitan Robarts, mało co starsi od nich, od razu do nich przyłgnęli i po chwili byliśmy wszyscy z sobą, jakby dawni znajomi.

Gospodarz odprowadził nas do pokoiów, przeznaczonych dla nas; były to wspaniałe apartamenty, umeblowane wytwornie po europejsku, tuż obok mieliśmy łazienki, wszystko urządzone było z angielskim komfortem. Wypocząwszy nieco, orzeźwiwszy się kąpielą i odświeżywszy nasz strój podróżny, zeszliśmy na werendę, gdzie zastawiony był suty podwieczorek. Spostrzegłem, że major był jakiś nie swój, widocznie miał coś na sercu, po podwieczorku wziąłem go na stronę:

Co ci jest, majorze? — zapytałem — widzę, że ci humor nie dopisuje. Miałabyś stracić ochotę do łowów? Ja jednak postanowiłem sobie, że zapoluję na kangury, choćbym miał przejść cały ląd australski, goniąc za niemi.

— Kto wie, coś w rzeczy samej na to się zanosz.

— Czy być może? — zawołałem — ależ ja wcale nie jestem od tego, znudziłem się strasznie w Melbournie, i wielką mam ochotę pohulać trochę w puszczy.

— Brawo! a to z pana widzę zapalony podróżnik, nie omyliłem się na pana. A więc dobrze, zapolujemy na kangury, i poszukamy ich daleko. Wiedziałem dobrze, że Robarts i Crowley mię nie odstąpią; jeden z nich jest moim krewnym, a drugi narzeczonym mojej córki, ale na pana, jako obcego, nie śmiałem liczyć na pewno. Wybierając się z Melbournu, sądziłem, że wycieczka nasza potrwa kilka dni, ale postać rzeczy zupełnie się zmienia obecnie. Jutro wyruszamy w drogę, a wrócimy zapewne nie prędzej, jak za kilka miesięcy. Rad jestem niezmiernie, że traf szczęśliwy dziś właśnie nas tu sprowadził. Dopełnienie świętego obowiązku powołuje nas w daleką podróż... czekają nas wielkie trudy i straszliwe niebezpieczeństwa... obyśmy tylko dopięli celu!

— Jakto, i mogłeś przypuszczać, majorze, że ja, co tylu już w życiu doznałem przygód, tyle wędrówek odbyłem, pozostanę w tyle, gdy wy taką wyprawę przedsiębrać zamierzacie? O, majorze, mam żal do pana! Nie potrzebuję wiedzieć, jaki cel macie przed sobą, dość dla mnie, że spełniacie święty obowiązek. Całym sercem pomagać wam pragnę, jadę z wami, choćby na koniec świata.

— Jeśli pan chcesz należeć do naszej wyprawy, masz tém samém prawo dowiedzieć się o jej celu. Nie wiele czasu pozostało na długie rozmowy, przygotowania do podróży już są ukończone, zabieramy z sobą dwudziestu ludzi na koniach i sześć wozów, któreśmy na dziedzińcu widzieli

Uprzedzam pana, że mamy do przebycia co najmniej dwa tysiące kilometrów drogi, wśród puszczy niekniętych nogą Europejczyka.

— A to lubię, to przynajmniej podróż nie na żarty.

— A teraz słówko o powodach tej podróży. Oto jest list, który panu pokazać mogę z upoważnienia naszego gospodarza. List ten pisany w Australii, dostał się do Anglii, z kądem napowrót przywieziony tu został przez dwóch synowców sir Reeda. Ci dwaj młodzieńcy przybyli tu przed kilku dniami w towarzystwie swej siostry, oni to przedsięwzięli niebezpieczną podróż dla odszukania ukochanego ojca, który od lat dwudziestu przebywa w głębi puszczy australskich.

„Najdroższe moje dzieci! Długie lata spędziłem z dala od was, odłączony od społeczeństwa ludzi cywilizowanych, pod ciężarem strasznego oskarżenia. Stałem się zabójcą, świat mnie uważa za zbrodniarza, sąd skazał mię na wygnanie z ojczystej ziemi i osadzenie w kolonii karniej w Australii. Matka wasza nie mogła przeżyć tej hańby, wy byliście dziećmi i nie pojmowaliście waszego nieszczęścia. A jednak, w obec Boga, przed którym stanę już niezadługo, przysięgam, iż byłem niewinnym. Ten, którego zabiłem, godził na moje życie i na mój honor, broniłem się i miałem słuszne prawo do tego. Człowiek ten doprowadził mię do nędzy, potem rzucił straszną potwarz, chcąc zważyć na mnie własne swoje zbrodnie, na koniec umyślił się mnie pozbyć i w własnym swoim mieszkaniu nabył pistolet do mnie wymierzył. Ja miałem także broń przy sobie, w chwili strasznego niebezpieczeństwa, myśląc o waszej matce, o was, dzieci kochane, dla których żyć pragnąłem, zabiłem nikczemnika. Ale niestety! wszystko mię oskarżało, schwytano mię na gorącym uczynku, którego zresztą nie zapierałem się wcale, nie chciałem jednak uwierzyć, gdy usiłowałem się wytłómaczyć.

Dzieci moje! Edwardzie, Ryszardzie, Maryo, wkładam na was święty obowiązek. Dołóżcie wszelkich usiłowań, aby zdjąć tę hańbę niezasłużoną z imienia waszego ojca. Starajcie się, aby sąd na nowo rozpatrzył moją sprawę, a niewinność moja niezawodnie wyjdzie na jaw. Ale do tego potrzeba koniecznie funduszków. Zostawiłem was w nędzy, lecz na ziemi wygnania zdobyłem dla was wielkie skarby. Nie przestałem nigdy czuwać nad wami i za pośrednictwem wiernego przyjaciela przysyłałem do Anglii fundusze dostateczne na wychowanie wasze i utrzymanie. Mam w kraju potężnych nieprzyjaciół, którzy tu nawet czyhali na moją zgubę i cudem prawie zdołałem śmierci uniknąć. Z największego niebezpieczeństwa ura-

towali mię krajowcy tutejsi, u których dotąd ukrywam się wśród puszczy niedostępnych. Wodzem tego plemienia jest Europejczyk, Szkot, nazywa się Józef Mac Knight...

Tu przerwałem nagle czytanie.

— O, majorze — zawołałem — co za szczególny zbieg okoliczności! Wszak właśnie przed kilku dniami pocziwy doktor Stephenson opowiadał mi o tym wodzu, którego znał osobiście. Ten pocziwyw Szkot Józef i jemu także życie uratował przed dwudziestu laty. Ale czytajmy dalej:

„A teraz, moje dzieci, uważajcie dobrze i zachowajcie w pamięci wszystkie szczegóły i nazwy, które tu dla was zapisuję. Plemię, wśród którego znalazłem bezpieczne schronienie, nazywa się Ngako-Tko, a wódz Józef w języku krajowców nosi miano Ta-Oya, czyli czerwony kangur. Przeważało tak z powodu wielkiej rudą brody, która była przedmiotem największego podziwu dla dzikich ludzi, bo oni żadnego zarostu na twarzy nie mają. Pocziwy ten człowiek przywiązał się do mnie i stał się moim opiekunem.

Przypadkowym sposobem znalazłem bryłkę złota. Dzicy nie mogli pojąć radości mojej na widok tego żółtego kamyczka, który dla nich żadnej nie miał wartości. Gdy jednak zdołałem im wytłómaczyć, że posiadanie wielkiej ilości tych kamyczków mogło mi przynieść pociechę w życiu, wskazali mi bogate żyły złota i z ich pomocą udało mi się zdobyć ogromne skarby, które o ile mogę obliczyć, wyniosą najmniej dziesięć milionów franków. Pocziwy mój przyjaciel Józef upatrzył wyborną kryjówkę, w której je złożyłem, on tylko i trzej jego synowie znają to miejsce i potrafią je wskazać w razie mojej śmierci. Zapomniałem powiedzieć, że brodaty wódz ożenił się z kobietą australską i ma trzech synów, a ja byłem ich nauczycielem, możecie więc sobie wyobrazić, jaką mądrością odznaczają się wśród swojego plemienia.

Złoto to, które ukryłem, do was należy, moje dzieci, trzeba tylko, ażebyście przyszli je sobie zabrać. Przykro mi, że was narażać muszę na takie trudy, ale dla mnie przeniesienie tego ciężaru jest niepodobieństwem, a biedni moi przyjaciele także niepotrafiliby tego dokonać. Zresztą ani ja, ani oni, nie możemy się zbliżyć do mieszkań ludzi cywilizowanych; krajowcy prześladowani są bez litości przez tych, którzy powinni ich oświecać, gdyby postępowali według nauki Chrystusa; ja zaś napotkałbym niezawodnie prześladowców, czyhających na moją zgubę i wydartoby mi moje skarby. Przybывajcie więc do Australii, ukochani moi synowie. Radę i pomoc znajdziecie u zanego mojego brata, który był waszym opiekunem, a starajcie się pozyskać współudział kilku przynajmniej

odważnych i życzliwych rodaków. Mam nadzieję, że Opatrzność czuwać będzie nad wami.

Plemię Nga-ko-Tko wyrzekło się oddawna ko-czowniczych zwyczajów i ma siedzibę stałą na przestrzeni stu kilkudziesięciu mil, pomiędzy 135 i 137 stopniem długości geograficznej, 19 i 21 szerokości. Zbliżając się do tego kraju napotkacie ogromne lasy rozdrębów (eukalyptów). Pamiętajcie wszędzie po drodze pozostawiać ślad waszego przejścia, kreśląc nożem na korze drzew figurę węża. Zapowiedziałem krajowcom wasze przybycie, a te znaki uwiadomią ich, że się zbliżacie. Każde plemię australskie, tak samo jak plemiona amerykańskich krajowców, ma swoje godło, *kob-hong* w ich języku, coś naksztalt narodowego herbu.

(D. c. n.).

PIELGRZYM

OPOWIADANIE Z PRZESZŁOŚCI

osnute na podaniu historycznym,

przez **Waleryą Stacherską.**

Jeszcze groza klęski Cecorskiej ciążyła nad Polską, jeszcze bolesne wspomnienie śmierci hetmana Żółkiewskiego tkwiło świeżo w pamięci narodu, a już nowe od wschodu gromadziły się chmury, zapowiadając straszną nawałę pogan. Osman, sułtan turecki, zebrawszy 300,000 wojska, ciągnął na Polskę. Pod naciskiem grożącego niebezpieczeństwa uchwalono na sejmie nowe zaciągi i ogłoszono pospolite ruszenie.

Lecz któryż ze wsławionych wojowników mocen był, w opłakany stan rozprężenia i samowoli szlacheckiej, uchwycić w krzepkie dłonie naczelne dowództwo? Gdzież znajdował się ów mąż, na którego barki można było śmiało włożyć to brzemię, z mocną wiarą, że je unieść zdoła?

Opatrzność naznaczyła do tej potrzeby zwycięzcę z pod Kirchholma, a za jęj wskazówką poszedł w wyborze swoim prawie cały naród. Karol Chodkiewicz przebywał właśnie w owym czasie w Ostrogu i pojął był w małżeństwo Annę, księżniczkę Ostrogską; w chwili kiedy z oblubienicą od świętych odchodził ołtarzy, oddano mu rozkaz udania się czempredzję do wojska. Snać nie sądlzone mu było ciche szczęście rodzinnego życia, wyższa wola do innych przeznaczała go celów. Z mężnćm sercem rozdziela się hetman z ukochaną, we łzach tonącą żoną, Bogu porucza serdeczny swój żal i niepokój o dożgonną życia towarzyszkę,

a śpieszy tam, gdzie go powinność woła. Za nim podążają ci, w których sercach miłość zagrożonej ojczyzny pierwsze trzyma miejsce.

Miedzy innymi wyruszył wówczas w zapasy z nieprzyjacielem starosta Wilczek, pan zamku nad Strypą, na pograniczu Podola ku województwu ruskemu.

Na pierwszy szcęk oręża, starosta opuścił dom, śpiesząc ku obronie kraju od Turków i Tata-rów. W zamku zostawił młodą, ukochaną żonę, z dwoma niemowlęcami synami.

Wojna Chocimska skończyła się przedzję i szczęśliwiej, niż można się było spodziewać. Chmury niezliczonego pogaństwa odparte, potęga dziczy złamana, a imię dzielnego wojownika wiekuistą okryte sławą. Próżno jednak młoda przywiązana żona wyglądała powrotu zwyciężkiego hetmana, już on nie wrócił z pod Chocima. Siły wielkiego wojownika, stargane nadmiarem trudów obozowych, zapragnęły wiekuistego spoczynku; Bóg przyjął ostatnie tchnienie jego rycerskiego ducha, jako ostateczny okup za wyzwolenie ojczyzny ze strasnej tony, w jakiej pogrążoną była. I starosta Wilczek nie podążył w progi domowe, prze-padł bez wieści, nie wiadano, czy poległ w bitwie, czy też dostał się w niewolę pogańską.

Nadaremnie osamotniona małżonka zewsząd zasięgała języka i zaufane wyprawiała sługi, by o jego losach dobać się pewności; nikt z wysłanych na żaden ślad nie naszedł. Próżno młode chłopięta wyuczyły się wymawiać imię rodzica i biegały codzien na czaty wypatrywać ze wzgórką, czy ojciec nie wraca, nigdy dziecinne ich usteczka nie rozwarły się okrzykiem radosnym, nigdy bystre oczęta wytężone w dal nie zobaczyły upragnionego widoku. Żadnego śladu, żadnej wieści.

Tak przeszły długie — długie lata. Starości-na wyplakawszy cały swój żal, ulegając radom i namowom rodziny, wstąpiła w nowe śluby małżeńskie. Sprawy majątkowe potrzebowały kierownika, słaba dłoń niewieścia nie mogła im sprostać. I tak z biegiem czasu, zwykłą rzeczy ludzkich koleją, dotkliwy ból i próżną nadzieję nowe zastąpiło życie; wszystko w zamku odmienną przybrało postać, zapomniano o pierwszym dziedzicu.

Nieodgadnione jednak wyroki Boga, on w ręku swoich trzyma nić życia ludzkiego, On sam jeden przenika tajemniczą głębię losów człowieka.

Był piękny jesienny wieczór, zamek nad Strypą kąpał się cały w złotych falach zachodzącego słońca. Drzewa ustrojone w różnobarwną krasę jesieni stały spokojne. Cisza panowała dokoła.

Drogą wiodącą do zamku szedł pielgrzym w ubogiej szaręj sukni. Krok jego ocieżyły, postawa pochylona naprzód, twarz wychudzona z po-

marszczoną i posieczoną skórą, oczy głęboko zapadłe, wydawały człowieka, któremu ciężka nędza i ból sterały życie.

Przystawał co chwila, rozglądał się dokoła długim łzawym spojrzeniem, jakby w każdym kamieniu przydrożnym, w każdej piędzi ziemi, odszukiwał śladów z lat dawno ubiegłych; widać było, że tonął myślą we wspomnieniach minionej przeszłości.

Na wzgórzu stał krzyż z męką Zbawiciela, do niego skierował starzec swoje kroki, ukląkł, a koranie pochyliwszy głowę, stłumionym wyrzekł głosem: „Panie! wspieraj moje słabe siły, dodaj mocy do zniesienia tego, co mi przeznaczasz“. Po tej modlitwie podniósł się i poszedł ku bramie wchodowej. W samem podwórzcu spotkał go dawny sługa zamkowy, pobożny Maciej, paciornikiem zwany od tego, że w wolnych chwilach zajmował się nizaniem paciorek na koronki i różańce i szczególnie miał nabożeństwo do Najświętszej Panny. Domyślając się po sukniach pielgrzyma wracającego ze wschodu, zdjęty poszanowaniem, wprowadził go przez sień do komnaty jadalnej, gdzie właśnie starościna z mężem i chłopiętami siedziała u stołu.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ wyrzekł pielgrzym, stając pokornie u drzwi. „Na wieki wieków Amea“ odrzekli wszyscy, a gospodarz powstawszy ku przybyłemu wyrzekł:

— Prosimy was, ojcze, zajmijcie miejsce w pośród nas i pokrzepcie siły, czém Bóg dał. Widać z dalekich stron przybywacie, rozpowiedźcie, co tam słyhać na szerokim świecie.

Pielgrzym otarł chustką pot spływający z uznojonego czoła i drżącym od wzruszenia głosem zaczął opowiadać o wracających z niewoli brańcach, których długoletnie cierpienia zmieniły do niepoznania.

— O! straszne to życie wśród pogan w jasyrze, człek śmiertelną uczuwa trwogę na samo wspomnienie tych mąk, które tam przeżył, ale nad wszelkim uciskiem króluje Wszechmoc Boga, On rozwiązuje pęta przykutemu niewolnikowi, On wskazuje ścieżki, któremi biedny wyzwoleniec wraca w rodzinne swoje strony.

— O! czemuż i nam Bóg nie powróci ojca! — zawołał ze łzami kilkunastoletni młodzian, przysłuchujący się z bratem opowiadania.

— Synu mój! — krzyknął w nadmiarze uczucia pielgrzym, zrywając się ku pacholęciu. Nim jednak zdążył w jego objęcie, opuściły go siły, upadł, zabity szczęściem i żalem.

W martwych rysach trupa rozpoznała pani starościna pierwszego swego męża i przy jego zwłokach ślubowała Bogu życie klasztorne; jakoż nie-

bawem, opuściwszy drugiego małżonka, wstąpiła do zakonu.

Co się działo w sercach dwóch synów, którzy po przelotnym błysku najżywszej radości, patrzyli na nagły skon tak długo wyczekiwanego rodzica, każde tkliwe serce wyobrazić to sobie i odczuć potrafi; my, nie mając żadnych pewnych wskazówek o dalszych losach pacholąt, zakończamy nasze opowiadanie.

ROZMAITOŚCI.

Błędy języka. Często słyszymy mówiących: widziałem *dwóch* psów, on zabił *trzech wilków* albo *czterech lisów*. Zdarzyło się nam nawet czytać w jakimś opisie podróży: Zabił *dwóch krokodyli*. Jestto błąd gramatyczny, bo w 4 przypadku liczby mnogiej mówi się tylko o ludziach: widziałem *dwóch chłopców*, spotkałem *trzech znajomych*. O zwierzętach trzeba zawsze mówić: widziałem *dwa pieski*, zabili *dwa* lub *trzy wilki*, *dwa* lyb *trzy lisy* i t. d. Gdyby kto powiedział: *Lubię bardzo wszystkich zwierzątków, piesków, koników, baranków*, poznalibyśmy odrazu, że to jest rażąca omyłka.

Innym błędem bardzo rozpowszechnionym jest używanie wyrazów *żeby* i *gdyby* w jednakowym znaczeniu. Tymczasem trzeba o tém zawsze pamiętać, że wyraz *żeby* oznacza życzenie, a *gdyby* warunek lub przypuszczenie. Powiemy więc: *Żeby* to już prędzej wiosny się doczekać. Bo to jest życzenie; ale źle byłoby powiedziano: *żeby* wiosna przez cały rok trwała. niepotrzebowalibyśmy w piecach palić. To jest przypuszczenie i należy powiedzieć: *Gdyby* wiosna przez cały rok trwała i t. d. Przytoczymy wam jeszcze parę przykładów, ażebyście to dokładnie zrozumieli. *Gdybyś* mi był wcześniej o tém powiedział, postąpiłbym inaczej. *Gdybyśmy* wiedzieli, nie potrzebowalibyśmy się pytać. Chciałbym, *żeby* już ojciec powrócił, *żeby* siostrzyczka nie chorowała. Prosiłem cię, *żebyś* to zrobił.

W pisaniu znów wiele osób nie umie rozróżnić, gdzie się powinno pisać *h* a gdzie *ch*. Na to już niema ogólnego pravidła i trzeba się radzić dobrego słownika, aby się nie omylić. Dla dogodności naszych czytelników wyliczymy tu niektóre wyrazy, częściej używane, których nie należy pisać przez *ch* tylko przez *h*. Bohater, hartować, hojny, hołdy, hasło, hałas, hańba, wahadło, haftować. pubacz, puhar, haracz, hamować, hufiec, błahy, huk. Błędnie więc niektórzy piszą: *Bochater, wahadło* i t. d.

Łamigłówka liczbowa (S. B.).

Z 11 liter nazwisko znakomitego malarza.

Przestawiając litery otrzymamy :

- 8, 9, 11, 10., Zwierz dziki.
 4, 5, 6, 7, Rodzaj kadzidła.
 3, 4, 5, 6, Tytuł wschodni.
 4, 5, 10, 7, Mineral błyszczący.
 10, 7, 6, 1, Miasto w Azji.
 8, 7, 6, Rzecz przyjemna.
 6, 7, 10, 11, Skorupiaki.
 1, 10, 11, 6, Straszna choroba.
 4, 7, 10, Roślina.
 9, 2, 3, 4, 5, 7, Jedna z planet.

Łamigłówka gwiazdka (Małgosia).

Ułożyć w kształcie gwiazdki następujące wyrazy: 1. Kruszec kosztowny. 2. Postępowanie prowadzące do zbawienia. 3. Kawał drzewa. 4. Brzydki czas.

```

      *
    *   *   *
  *   *   O   *   *
    *   *   *   *   *
      *   *   *   *
        *
  
```

ROZWIĄZANIA DO N-ru 52.**Łamigłówki kryształowej.**

```

      K
    E R A
  T E A T R
S T A S S Z J Ć
K R A S I Ń S K I.
G L I Ń S K I
  B A S Z A
    O K O
      I
  
```

Metagramu.

Rok — tok (klepisko) — bok — sok — lok —

Odpowiedzi od Redakcji.

Tadziowi Sz. przy ulicy Chmielnej. Bardzo a bardzo przepraszamy za opóźnienie odpowiedzi, ale w ostatnich N-rach zesłorocznych zabrakło nam miejsca, tymczasem tyle się nazbierało miłych listów, że i w pierwszym tygodniu nie mogliśmy odpowiedzi pomieścić. Żądany Nr. odesłaliśmy niezwłocznie, a listek serdeczny sprawił nam wielką radość, za którą podziękować musimy. Piśmko nasze przeznaczone jest właśnie dla młodzieży dorastającej i rozwiniętej, a uznanie takich czytelników jest dla nas pociechą prawdziwą i zachętą do dalszej pracy. Na resztę listu jeszcze nie pora stanowczo odpowiedzieć.

Helu, Naci, Jadzi i Jasiowi. Rozwiązanie łamigłówki, na które się tyle główek złożyło, jest trafne, ale żalowaliśmy, że listek taki króciutki.

Cesi G. w Częstochowie. Długie listy, byle zawsze tak starannie pisane, są dla nas bardzo miłe, nie uważamy wcale odpisywania naszym kochanym korespondentom za czas stracony.

Heluni S. w Czuczelicach. Za powinszowanie serdecznie dziękujemy i wzajemnie przesyłamy.

Rózi w Berdyczowie. Za wyborne szarady dziękujemy bardzo, jeszcze tak dowcipnych nie mieliśmy w naszym piśmie. W Październiku nie otrzymaliśmy żadnego listu, bo z pewnością nie pozostawilibyśmy go bez odpowiedzi.

Gabryeli St. Łamigłówki zamieścimy, ale troszkę później, bo mamy mnóstwo wcześniej nadesłanych. Żądane Nra odesłaliśmy natychmiast, gdyby w liścieku podany był adres dokładny. Cena pojedynczego Nru Wieczorów jest 10 kop.

Zosi N. w Szczepieszynie. Wielka to dla nas pociecha, że piśmko nasze tyle sprawia przyjemności, zajmuje długie zimowe wieczory i zastępuje nawet towarzystwo koleżanek. Będziemy się starali, aby pieniążki, własną pracą zebrane i na prenumeratę tak chętnie ofiarowane, jaknajwięcej kochanej naszej czytelniczce przyniosły korzyści i przyjemności.

Anusi M. Rubla na maszynę dla biednej panienki oddaliśmy do redakcji Kroniki Rodzinnej, 20 kop. włożyliśmy do puszek Szpitala Dzieciinnego. Cieszymy się bardzo, ile razy takie dobroczynne ofiary za naszym pośrednictwem dostają się potrzebującym.

Wandzi B. Znowu rubelek dla biednej panienki, i tak ich dużo napłynęło, że maszyna już kupiona, nie mało też przyczyniła się do tego kochani nasi czytelnicy, za co im serdeczne składamy dzięki.

Kaziowi K. przy ulicy Sienniej. Łamigłówki zamieścimy; zamiast tłumaczonych powiastek wolimy drukować oryginalne, na których nam nie zbywa. U nas młodzież po większej części uczy się obcych języków, nie potrzebuje więc czytać tłumaczeń, zwłaszcza z francuskiego lub niemieckiego.

Matyni z Beska. Nie dość odgadnąć nazwisko, aby nagrodę pozyskać, trzeba przesłać opis, któryby mógł być w piśmie wydrukowany.

N. Bar. na Litwie. Cieszymy się bardzo, że piśmko nasze tyle sobie zjednało życzliwości. Opłatek litewski przełamaliśmy z rozrzewnieniem i wdzięcznością. Roczniki z lat ubiegłych kosztują po rs. 4 z przesyłką. Pierwszy z r. 1880 odstępujemy także po 3 rs. bez dodatku-historii biblijnej, której niewiele pozostało. Rozwiązanie zagadki historycznej powinno być napisane obszernie i dokładnie. O szczegóły, dotyczące się powiastki *Męczennicy*, zapytamy autorki i doniesiemy.

Stasi N. w Lipce. Potrzebaż to było szukać pretekstu do napisania tak miłego listu? Za wszystkie życzliwe dla nas wyrazy serdecznie dziękujemy i liczymy na to, że pierwszy ten listek nie będzie ostatnim.

Masi H. Rozwiązanie zagadki historycznej, przesłane przez Anulkę z Niszowic, było rzeczywiście wyborne napisane; nie powinno to jednak zniechęcać innych czytelników. Takie szlachetne współzawodnictwo dla wszystkich jest pożyteczne, chociaż nie wszyscy nagrodę otrzymać mogą.

Stasi P. Łamigłówki zamieścimy trochę później.

Stasi S. w Lublinie. Dwa ruble ofiarowane przez dwie siostrzyczki, umiające tak piękny użytek czynić ze swych oszczędności, dołączono do funduszu, za który panienka z Chęciny kupiła sobie upragnioną maszynę.

Jasiowi P. w Nowo Radomsku. Z nadesłanych pieniędzy rubla oddaliśmy na pomnik Mickiewicza, drugiego włożyliśmy do puszek Towarzystwa Ś-go Wincentego a Paulo, które wspiera najbiedniejszych.

Jeden z prenumeratorów, którego nazwiska przypomnieć sobie nie możemy, nadesłał 5 rs. na maszynę, a 5 dla Styka. Ofiarę tę złożyliśmy w ręce właściwe.

Celince w Tyśmienicach. Wchodzimy najzupełniej w położenie biednej naszej korespondentki, która tyle kłopotu ma z psotnym małym rodzeństwem. Wysyłamy więc wszystkie żądane Nra, ale nie jesteśmy pewni, czy dojdą, bo w liście nie było dokładnego adresu, więc na chybił trafił zandresowaliśmy przez Lublin.

Pani S. w Rakiszkach. Odsyłanie zatraconych Nrów i kartepek po upływie dwóch lat blisko, byłoby zanadto uciążliwe dla Redakcyi. Nra z r. 1880 są jeszcze w niewielkiej ilości do nabycia po 10 kop. ale dodatków nie odstępujemy osobno.

P. Rafałowi R. w Kупielach. Całoroczna prenumerata z opłatą pocztą wynosi 5 rs. otrzymaliśmy tylko 4.

Ks. G. Ch. w Lucynie. Radzilibyśmy Szanownemu Panu udać się do redakcyi Gazety Świątecznej, Jest to pismo ludowe redagowane bardzo umiejętnie i w duchu religijnym.

Sprostowanie. W liściku Kazia i jego rodzeństwa, na który odpowiedzieliśmy przed tygodniem, wymieniono rs. 5, a nadesłano 10. Całą więc tę sumę złożyliśmy dla panienki z Chęcin.

Panu Wł. Zał... w Zbrzysiu. Żądane Nra wysłane, pozostaje u nas do rozporządzenia kop. 70.

PIEŚŃ O WESOŁOŚCI

St. Moniuszki.

Allegretto.

Gdy sło-necz-ko nam za-świ-ta, za-bły-śnie w oz-do-bie, nie je-den je-ź-mi-wi-ta, A jam we-sół so-bie, a-jam we-sół so-bie.

1-o 2-o 3-o 4-o

bie.

Zawsze mi czas szybko minie,
Bawię się czy robię,
Nie jednemu łza popłynie,
A jam wesół sobie.

Czasem cierpieć Bóg przeznaczy,
W niedoli, w chorobie,
Inny umarłby w rozpacz,
A jam wesół sobie.

Innych myśl przenika sroga,
Gdy wspomną o sobie,
Ja wtedy westchnę do Boga
I wesołym sobie.